

# **Jak przestałem martwić się wojną i zacząłem zbierać zioła**

RUMBURAK JOKERMAN

## 1 października 1943

---

Myślałem, że jakoś dochodzimy do siebie. Że najgorsze już minęło, a my powoli zaczynamy funkcjonować na poziomie wyższym niż czysty odruch przetrwania. Myliłem się. Oczywiście, że się myliłem.

Fuchs dostał dziś wartę przy więzieniu. Dwójka najciężej rannych jeńców nie uciekła, więc ktoś uznał, że to dobry pomysł. To był błąd. Ogromny. Już od kilku dni chodził poddenerwowany, spięty jak drut kolczasty, reagując agresją na byle spojrzenie. Wojna weszła mu do głowy i najwyraźniej postanowiła tam zostać.

Dzisiaj w końcu puściły mu hamulce.

– **BĘDZIESZ ŻREĆ CO DAJEMY I TO TERAZ!!!** – ryknął, po czym rzucił się z pięściami na jedną z uwięzionych kobiet.

Nie było w tym żadnej kontroli, żadnego planu, tylko czysta, ślepa furia. Zaczął ją bić, jakby chciał rozładować w niej wszystko to, czego nie potrafił znieść w sobie. Przeliczył się jednak. Druga osadzona natychmiast ruszyła jej na pomoc, bez wahania i bez strachu, który najwyraźniej już dawno przestał tu działać na kogokolwiek.

Teraz Fuchs leży w lazarecie. Poturbowany, poobijany, znowu unieruchomiony. A dopiero co go opuścił.

Krąg się zamyka. W Kanzelpass nikt nie zdrowieje naprawdę. Co najwyżej chwilowo przestaje krwawić.

## 2 października 1943

---

Przed południem znowu spróbowali nas złamać zrzutem spadochroniarzy. Tym razem byli to żołnierze Związku Winkulijskiego. Ktoś tam najwyraźniej uznał, że skoro inni próbowali i polegli, to im pójdzie lepiej. Nie poszło. Wiatr ponownie stanął po naszej stronie i skutecznie pokrzyżował ich plany, rozrzucając ludzi po kanionie

i zamieniając całą ich operację w chaos. A my sobie urządziliśmy polowanie na pojedynczych żołdaków. Poszło wyśmienicie. Jedynie Fuchs lekko oberwał, co przy jego ostatnich wyczynach można wręcz uznać za ironię losu.



Więżenie znowu mamy wypełnione po brzegi. Każda prycza zajęta, każdy kąt wykorzystany. Jeśli któryś z napastników leży gdzieś ranny poza murami posterunku, to najpewniej właśnie się wykrwawia na przedpolu. Ani ja, ani *Frau Blau* nie jesteśmy

cudotwórcami. We dwójkę ledwo dajemy radę ogarnąć to, co dzieje się w lazarecie. Dzisiaj, pod koniec dnia, padliśmy wyczerpani po serii operacji, siedząc na podłodze między łózkami, z rękami jeszcze drżącymi od wysiłku.

Wojna przynosi kolejne ofiary. Ofiary, które mają swoją tożsamość a nie są tylko liczbami w raportach. Ktoś, kto wymyślił swobodny przepływ ludzi między nacjami, był mistrzem zbrodni, choć pewnie do dziś uważa się za humanistę. Wśród zabitych znaleźliśmy brata Fuchsa oraz wuja Kellera. Dwie twarze, które jeszcze niedawno mogłyby siedzieć przy jednym stole, teraz leżały na śniegu po przeciwnych stronach barykady.

Jeszcze kilka lat tej wojny i powybijamy całe swoje rodziny. O tym nikt na plakatach propagandowych nie pisze.

## 4 października 1943

---

Wypuściliśmy jedną z uwięzionych. Decyzja była prosta. Całkowity brak romantyzmu z naszej strony, czysty pragmatyzm. Nie mogliśmy się z nią porozumieć, nie miała żadnych informacji, żadnych umiejętności, które mogłyby się nam przydać. Była tylko kolejną gębą do wykarmienia. Nieprzydatną gębą. W tych warunkach to

wystarczający powód, żeby otworzyć drzwi i pozwolić jej odejść, nawet jeśli oznacza to wysłanie jej prosto w nieznane.

Roth dostał ataku kompletnego „pierdolca”, gdy dowiedział się o decyzji Weissa. Na przemian straszył donosami, dowództwem, sądem polowym i wszystkim, co tylko przyszło mu do głowy, jakby regulamin miał nagle zmaterializować się z powietrza i uratować sytuację. Nikt go jednak nie słuchał. Nie mamy na to czasu. Posterunek po tych wszystkich walkach wygląda jak pobojuwisko i jeśli w końcu nie zaczniemy sprzątać, to prędzej zabije nas jakaś epidemia niż kolejny atak. Nie nadążamy z chowaniem zabitych, a smród zaczyna wżerać się w mury i ludzi.

Jedyną naprawdę dobrą wiadomością jest to, że w końcu przyszła wiosna. Może daleko jej do upałów, ale w ciągu dnia temperatura przekracza już dziesięć stopni i samo to wydaje się luksusem. Czekaliśmy na ten moment. Falk zaproponował, żeby zacząć osuszać mokradła na północy posterunku, choć najpierw lód musi całkiem ustąpić. Po raz pierwszy od dawna ktoś mówił o czymś innym niż obrona i rany.



– Będziemy siedzieli tu nie wiadomo ile. Wsparcie? Nie mamy na co liczyć – powiedział któregoś wieczoru przy kolacji, coraz bardziej podnosząc głos. – Dlatego musimy zacząć być samowystarczalni! – ryknął w końcu zrywając się z ławki. – Zacząć robić leki, broń, ubrania. Popatrzcie, jak my wyglądamy!

Miał rację. Wyjątkowo miał rację.

Wyglądaliśmy jak banda uchodźców, a nie żołnierzy, którzy mieliby broń

czegokolwiek poza własnym oddechem. Może i nie jesteśmy zawodowcami, ale jakaś resztką godności powinna nam jeszcze zostać. A przede wszystkim musimy przeżyć.

## 6 października 1943

---

Spokojnie. Aż za spokojnie. Do tego stopnia, że zrobiło się niemal rodzinnie, jakby wojna na chwilę zapomniała o naszym istnieniu albo uznała, że i tak już swoje zrobiła. Tego dnia Keller wziął ślub z Moser. Udzielił im go Weiss, jako najstarszy stopniem, bo najwyraźniej w Kanzelpass starszeństwo zastępuje wszystkie instytucje, których tu nie mamy.

Zamiast obrączek? Fuchs wymajstrował coś z zawleczek od granatów. Krzywe, toporne, ale trwałe. W sam raz na takie czasy.

– To dlatego wczoraj było słycać wybuchy w kanionie! – spanikował Roth, jakby dopiero teraz połączył fakty. – Zresztą ślub? A gdzie zgoda szefa okręgu wojskowego? To łamie co najmniej osiem punktów regulaminu!

Moser nie dała mu nawet dokończyć wywodu.

– Jak tak bardzo potrzebujesz zgody dowództwa, to droga wolna – powiedziała spokojnie, ale z tym charakterystycznym błyskiem w oku. – Karabin na ramię i zapieprzaj do sztabu po ten papierek.

Roth ustąpił. Może i był mocny w gębie, ale nie na tyle, żeby ryzykować samotną wędrówkę przez góry i front tylko po to, by udowodnić rację regulaminowi. Zwłaszcza że nikt tak naprawdę nie wiedział, gdzie sztab w ogóle teraz się znajduje.



Ślub odbył się w messie. Kaplicy nie mamy, barak Weissa jest za mały, a poza tym i tak nikt nie udawał, że to ceremonia z marzeń. Patrząc jednak na twarze Moser i Kellera, widziałem, że im to w zupełności wystarczało. Nam zresztą też. Przynajmniej na chwilę. Jedna kropla czegoś, co przypominało normalność, w tym tragicznym cyrku, który od tygodni nazywamy codziennością.

## 8 października 1943

---

Rolfine ma jednak dar przekonywania. Taki prawdziwy, życiowy. Potrafi przegadać człowieka na śmierć, przekupić jedzeniem, a jak trzeba, to i delikatnie zastraszyć, tak żeby ofiara sama doszła do wniosku, że to był jej pomysł. Udało jej się przekabacić dwójkę z uwięzionych, żeby do nas dołączyły.



Pierwsza to Selina „Sela” Fischer. Dwadzieścia cztery lata. Przed wojną policjantka w Winkulii. Teraz jest u nas. Umie strzelać. I to wystarczy. W tych czasach nikt nie pyta o ideały ani o motywację, tylko o to, czy trafisz w cel i czy nie spanikujesz.

Druga to Yolande Besson, czterdzieści siedem lat. Córka sklepikarza, potem ogrodniczka

pracująca w jednym z wielkich majątków ziemskich. Weiss będzie miał pomocniczkę, co wyraźnie poprawiło mu humor. Rolfine natomiast zyskała potencjalną konkurentkę do jego serca, co grozi atakiem gorszym niż najazd Sarmacji i Dreamlandu na raz.

Weiss jest wniebowzięty. Udało nam się osuszyć część mokradeł i teraz biega z motyką, przygotowując polećka pod uprawy, jakby całe to miejsce było jego rodzinną farmą, a nie posterunkiem na linii frontu. Chyba poczuł się jak w domu. I dobrze. Po ostatnich załamaniach potrzeba nam choćby namiastki normalności, nawet jeśli jest ona całkowicie iluzoryczna. No i nasz dowódca do czegoś w końcu się przydał.

Keller i Fuchs postawili nowy barak. Ma tam powstać szwalnia i pralnia. Kiedy to zapisuję, brzmi to niemal jak początek życia, a nie jego powolne dogorywanie. Zaczynamy żyć. Chyba. Albo cofamy się w rozwoju i cieszymy się jak neandertalczyki odkrywający ogień.

Moser, jak zwykle, pokazała, że potrafi załatwić wszystko, o ile tylko ładnie się poprosi albo wie, kogo poprosić. Dzisiaj przyprowadziła ze sobą grupę handlarzy z Wandystanu.

– Wypierdalać, moi drodzy! – krzyknął jeden z nich na powitanie. – Słyszałem, że macie trochę sprzętu do pozbycia się.

Oczywiście, że mieliśmy. Udało nam się przehandlować złom, który został po ostatnich atakach, na kilka mundurów i trochę leków. My nie pytaliśmy, skąd u nich wandejski sprzęt wojskowy, oni nie pytali, skąd u nas tyle podziurawionych sarmackich spodni i kurtek. Dżentelmeni nie rozmawiają o takich szczegółach.

Kobiety oszalały na widok Thrumbo, które handlarze mieli ze sobą. Piękne, majestatyczne stworzenia. I drogie w cholere. Do tego trudne do opanowania. Może Moser dałaby radę „załatwić” nam jedno jako maskotkę jednostki, ale jestem pewien, że zeżarłoby całą spizarnię w tydzień.



Wieści ze świata też dotarły. Sarmacja toczy ciężkie walki pozycyjne z Austro-Węgrami. Dreamland próbował desantu na Leocję, ale pogoda skutecznie krzyżuje im plany. Edelweiss wysłało korpus ekspedycyjny, żeby wesprzeć Austro-Węgry. A Wandystan?

– My mamy to w dupie. Handlujemy ze wszystkimi.

Prosta, rzeczowa odpowiedź. Jeśli ktoś chce się wzbogacić, wojna jest do tego idealnym momentem.

## 11 października 1943

---

Kolejni jeńcy przeszli na naszą stronę. Nie wiem, co dokładnie obiecała im Rolfine, ale musiało zadziałać. Podejrzewam, że jak zwykle sięgnęła po jedną ze swoich metod: trochę gadania, trochę strachu i solidna porcja jedzenia. Ona naprawdę bosko gotuje. Jestem przekonany, że gdyby podała jedno ze swoich dań księciu Sarmacji, ten ogłosiłby zawieszenie broni i przyłączenie księstwa do Edelweiss, bez negocjacji i bez pytań.

Pierwszy z nowych to Anatole Bonnet. Typ spod naprawdę ciemnej gwiazdy, takiej mroczniejszej nawet niż Moser. Za młodu przeżył masakrę swojej rodzinnej miejscowości. Nie załamał się, nie uciekł, nie próbował szukać schronienia u lepszych ludzi. Zamiast tego dołączył do paramilitarnej grupy odpowiedzialnej za ten atak. To była pierwsza z wielu decyzji, które uczyniły go człowiekiem trudnym do zaszufładowania.

Jego dalsze losy giną w pogłoskach. Oczywiście słyszało się plotki o akcjach Jeźdźców, o prowokacjach, o akcjach pod fałszywą flagą. Jak coś złego działo się w regionie, to niby oni mieli za tym stać. Ile w tym prawdy? Nie wiem. Może kiedyś się dowiem. A może lepiej nie.

Drugim był Lucas „Luca” Dubos. Były barman. Poborowy. Wojsko uznało, że skoro umie mieszać drinki, to i leki będzie w stanie wymieszać poprawnie. Typowa, pokrętna logika trepów z komisji rekrutacyjnej. Umiesz czytać? Zostaniesz szyfrantem. Umiesz zawiązać buty? Nadajesz się na sapera. Z Luci zrobili ratownika medycznego. I dobrze. Przyda się. Przy skali ataków na Kanzelpass każda para rąk, która potrafi zszyć ranę, jest na wagę złota.

Rotria próbowała nas dziś zaatakować. Nie przewidzieli jednak jednego: koledzy i koleżanki Woetke nie lubią, kiedy ktoś wchodzi na ich teren. To była masakra. Stado wkurzonych niedźwiedzi ruszyło na atakujących i nie zostawiło wiele do opisywania. W takiej sytuacji nawet karabin niewiele pomoże, zwłaszcza gdy obsługuje go dwudziestolatek, który trzęsącymi się rękami próbuje przeładować broń po pierwszym strzale.



Gorzej, że to samo stado ruszyło potem w naszą stronę. Odparliśmy ten „najazd”, a potem znów przyszło to, co zawsze: zbieranie rannych. Gdy zabrakło miejsca, Moser z Bonnetem „ukoili ich ból”. Coraz bardziej przeraża mnie fakt, że zaczynam to akceptować. *Frau Blau* udaje, że nie słyszy, co dokładnie robią.

Moser przekonała kolejnego jeńca, żeby został z nami. Mylene Farmer. Dzieciak. Dosłownie. Czternaście lat. W tym wieku powinna ganiać za chłopakami albo martwić się ocenami z matematyki, a nie nosić karabin. Ale nie teraz. Nie w tych czasach. Gdy wybuchła wojna, dołączyła do

armii Winkulii, udając starszą. Komisja poborowa udała, że nie widzą jej kłamstwa. A teraz jest u nas.

Roth się cieszy. Kolejny karabin w dłoni. Weiss? Weiss więcej czasu pierdzi w stołek albo dogląda poletka, niż ogarnia, co się dzieje na posterunku. Atak? Dobrze, weźmie karabin i stanie obok. Potem znika. Jebałby pies takiego dowódcę. Rolfine, kiedy akurat nie wychodzi z jego łóżka, ogarnia więcej niż on.

Ale powiedzmy sobie szczerze. Co jest, kurwa, z tym światem? Dziewczyna, która ledwie wyrosła ponad stół, biega z karabinem. I my się z tego cieszymy. Mylene oczywiście zgrywała chojraczkę, opowiadała, co to ona nie potrafi. Wystarczył jednak jeden dzień na nocnej warcie, żeby coś w niej pękło. Od tamtej pory niby jest obecna, ale jakby jej nie było. Włóczy się po posterunku w tę i z powrotem, nie reaguje, nie słucha.



Vogel zaproponowała, żeby puścić ją do domu. Reszta bandy uznała, że zawsze się może przydać.

– Ja jestem na nie – powiedziałem w czasie głosowania. – Niech zostanie u nas.

Nie dlatego, że liczę na dodatkowy karabin. Po prostu... głupio to przyznać... puszczenie jej samej do domu, przez nie wiadomo ile kilometrów wojny, to wyrok śmierci. Może jest zaradna, może ma niewyparzony język, ale to nadal dzieciak. Odesłanie jej teraz byłoby egzekucją w białych rękawiczkach.

Matko... Lucas... robisz się sentymentalny.

Rolfine dba o nasz stan osobowy. Aż za bardzo. Zaraz nasza kompania rozrośnie się do pułku. Kolejny jeńiec dołączył do załogi. Max Bescond. Pięćdziesiąt lat, to samo pokolenie co Weiss. Złota rączka, wychowana w klasztorze. W akcie urodzenia wpisano mu „rodzice nieznani”, choć prawda była dużo bardziej niewygodna. Owoc zakazanego związku jednej z zakonnice i jej spowiednika. Traktowano go źle, ale on się nie dawał. Krnąbrny od urodzenia. Uznano, że mnichem i tak nie zostanie, więc oddano go pod opiekę klasztornej konserwatora. Tam nauczył się wszystkiego. Gdy dorósł, opuścił klasztor i zatrudnił się w firmie budowlanej jako hydraulik.

A jakby tego było mało, dziś nad ranem rozbił się samolot. Z wraku chłopaki wydobyli trójkę rannych. Reszta nie przeżyła i trafiła do zbiorowej mogiły. Coraz bardziej dochodzę do wniosku, że trzeba będzie zacząć palić zwłoki. Miejsca nie mamy nieskończonego.

Na koniec dnia jeszcze jedno. Jeden z jeńców wpadł w szal. Dosłownie. Zatłukł swoją niedawną towarzyszkę broni. Luca, gdy wszedł do celi, zobaczył tylko jego, całego we krwi, stojącego nad zwłokami. A dopiero co zastanawialiśmy się, czy ją puścić wolno. Miała ponad siedemdziesiąt lat. Uznaliśmy, że się nie przyda. Teraz leży w mogile.

I tyle z naszych rozważań o humanitaryzmie.



## 13 października 1943

---

– **Ja pierdolę, zmarli ożyli!** – krzyknął Bonnet, ogłaszając alarm z takim entuzjazmem, jakby właśnie zobaczył cud. Królestwo Lumerii postanowiło zebrać resztki swoich jeszcze żyjących obywateli i przypomnieć światu, że wciąż istnieje. Zrobili to w jedyny znany sobie sposób: ostrzałem artyleryjskim.



Nie mogliśmy na to pozwolić. Nasz posterunek to kupa drewnianych baraków, desek zbitych w pośpiechu i łatanych byle czym. Kilka celnych pocisków i Kanzelpass zamieniłby się w jedno wielkie ognisko. A ja nie miałem ochoty opatrywać ludzi, którzy płoną razem z budynkami.

Wyszliśmy im naprzeciw. Tobiase i Sela po raz kolejny wykonały swoją ulubioną sztuczkę ze skrytym podejściem. Cicho, nisko, bez zbędnych gestów. Ostrzelały ich stanowiska artyleryjskie i w kilka minut zabiły

trzech oficerów. Reszta, pozbawiona dowodzenia i jakiegokolwiek wizji, zareagowała instynktownie. Ruszyli na nasze pozycje. Skończyli dokładnie tak, jak kończą wszyscy, którzy biegną na karabiny maszynowe z nadzieją, że tym razem się uda.

Obyło się bez strat i ran po naszej stronie. Piątka kolejnych jeńców trafiła do więzienia. Więcej się nie zmieściło. Coraz wyraźniej widać, że musimy coś zrobić z więzionymi, bo to zaczyna być problem. Logistyczny.

Trójkę wypuściliśmy. Niech wracają do swoich. Jeśli przyjdą kolejny raz, nie będą mieli tyle szczęścia ani tyle cierpliwości z naszej strony.

Dzień nas wymęczył. Opatrywanie rannych jeńców, zajmowanie się rannymi lotnikami, sprzątanie tego, co zostało po walce. Wieczorem usiedliśmy z Vogel w messie. Oboje padnięci. Bez słów. Ze spiżarni przyniosła piwo. Znaleźliśmy je przy Lumeryjczykach. Ironia losu smakuje najlepiej na zimno.

– Fajnie, że nie jesteś już takim bucem – rzuciła po którymś łyku.

No świetny komplement. Zawsze marzyłem, żeby ktoś mnie w ten sposób pochwalił. Ale z drugiej strony... to ostatnio jedna z nielicznych miłych rzeczy, jakie usłyszałem.

– Dzięki – odpowiedziałem. I tyle. Siedzieliśmy dalej w ciszy. Przyniosła kolejne butelki. Myśli same zaczęły krążyć. O mnie. O tym zadupiu, w którym wylądowałem. O *Frau Blau*.

– Cieszę się, że twój... że twój ostatni wybryk... że to był tylko jednorazowy wypadek przy pracy – wypaliłem nagle, przypominając sobie widok Vogel na haju, siedzącej pod ścianą z nieobecny wzrokiem.

– Ja też się cieszę –  
odpowiedziała.

Niby bez emocji, ale zauważyłem, jak kąciki jej ust delikatnie się uniosły. Kolejna butelka się skończyła. Tym razem ja poszedłem po następne. Piliśmy spokojnie, w ciszy, aż nagle Vogel oparła głowę na moim ramieniu.

Pierwszy odruch? Odrzucić ją. Zrzucić. Odepchnąć. Ale... to było przyjemne. Przez chwilę pozwoliłem sobie na to uczucie, zanim rozsądek znowu wrócił na swoje miejsce. Jest zmęczona. Trochę pijana. Nie kontroluje się.



– Yyy... co się dzieje? – zapytałem w końcu.

Moje pytanie chyba ją wybudziło. Podniosła głowę i spojrzała na mnie z lekkim przerażeniem.

– Przepraszam – wyjąkała, chwyciła butelkę i wyszła ze stołówki.

A ja zostałem sam. Jak ten Oberhaupt z angielskim.

## 15 października 1943

---

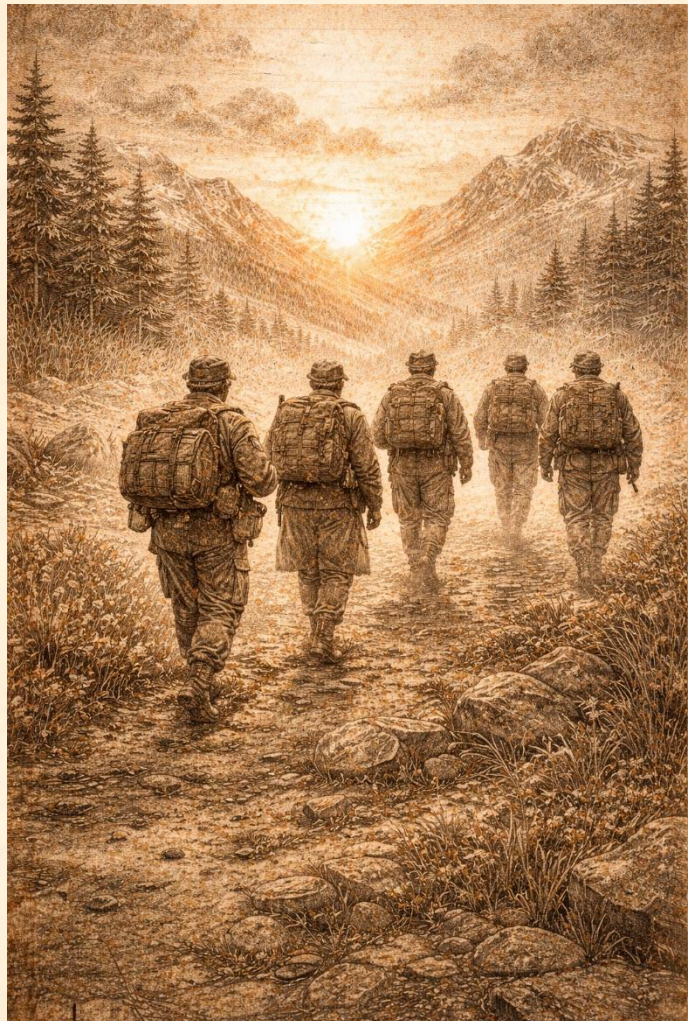
Roth. Złamał regulamin. I to w sposób, który dla niego samego powinien być niewybaczalny. Oświadczył się Alissie. Kiedy się o tym dowiedziałem, pierwsze co

zrobiłem, to zapytałem go, czy dowództwo wydało zgodę. Najpierw nabrał wody w usta, jakby właśnie połknął własny regulamin, a potem wydukał coś o *sytuacji nadzwyczajnej*. Tak. Nadzwyczajna. Nazywa się miłość. I podobno jest gorsza od sraczki, bo nie da się jej ani zatrzymać, ani przewidzieć skutków ubocznych.

Vogel w ostatnich dniach wyraźnie spoważniała w kontaktach ze mną. Wróciliśmy do oficjalnego tonu rozmów, krótkich poleceń i suchych raportów. I dobrze. *Frau Blau* jest kompletnie nie w moim typie. Może i jej dotyk bywa kojący. Może i jej włosy pachną w sposób, który zostaje w głowie dłużej, niż powinien. Nie ma to znaczenia. **NIE JEST W MOIM TYPIE.** Koniec tematu. Zamknięty rozdział.

Miłosny nastrój rozlewa się jednak po całym Kanzelpass jak jakaś epidemia. Falk oświadczył się Tobiasse. Patrzyłem na to z niedowierzaniem, licząc w myślach, ilu jeszcze ludzi uzna, że to idealny moment na deklaracje na całe życie, kiedy jutra może w ogóle nie być. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mieli tu więcej ślubów niż najazdów. Oby tylko nie zaczęły pojawiać się dzieci. Mylene w zupełności nam wystarczy jako przypomnienie, jak bardzo ten świat się wykoleił.

Uratowani lotnicy odeszli. Uznali, że póki jest jeszcze ciepło, mają szansę przedrzeć się do macierzystej jednostki. Patrzyłem za nimi bez większych emocji. Każdy z nas kiedyś będzie musiał



zdecydować, czy zostać, czy iść dalej. Razem z nimi wypuściliśmy kilku jeńców. Nie byli już przydatni. Powiedzieli wszystko, co mieli do powiedzenia, a reszta i tak nie miała znaczenia. Niech idą. Kanzelpass nie jest ani domem, ani więzieniem. To tylko przystanek, z którego nie wszyscy mogą odjechać.

## 18 października 1943

---

Besson pobiła się z Bescondem. Do tej pory nie jestem pewien, co jej dokładnie odbiło. Według relacji świadków wściekła się w momencie, gdy Max stwierdził, że *aktualny lazaret w zupełności wystarcza*. Ja pierdołę. Dożyłem czasów, w których ludzie w wojskowym posterunku kłócą się o standard szpitala. Co następne? Strzelaniny na tle wysokości zasiłku dla bezrobotnych?

Tyle że Yolande, niestety, ma rację. Punkt medyczny z ośmioma łózkami zaczyna być zwyczajnie za mały. Jeden większy atak i będziemy zszywać rannych po krzakach, przy świetle księżyca, na śniegu albo w błocie. Dlatego razem z Vogel dopięliśmy swego i namówiliśmy resztę na rozbudowę. Zburzyliśmy jedną z wieżyczek strażniczych. I tak była bezużyteczna. Widok z niej zasłaniało pobliskie wzgórze, więc stała głównie dla ozdoby i dobrego samopoczucia dowództwa.

Dzisiaj rozbudowę udało się dokończyć. Sześć dodatkowych łózek. Do tego koniec z klepiskiem. Kamienna podłoga. Kamienna. W Kanzelpass. W końcu jakiś cień luksusu. Przy śniadaniu rzuciłem półzartem, że teraz moglibyśmy jeszcze wymienić prycze w barakach.



Po kiego grzyba ja to powiedziałem...

Weiss natychmiast zagadał z Kellerem i jeszcze tego samego dnia zaczęli zbijać nowe łożko. Oczywiście tylko dla Weissa. I to nie łożko. Łoże. Takie, że spokojnie zmieściłaby się na nim kompania piechoty. Coś mi mówi, że Rolfine będzie teraz spędzać noce głównie w baraku dowódcy.



Z Vogel poszliśmy na rekonesans wokół posterunku. Szukaliśmy ziół, bo zapasy leków praktycznie się skończyły, a przed nami pilna operacja. Kiedy pojnma. Musimy mu przyszyć chociaż prowizoryczną, drewnianą protezę, żeby mógł w miarę normalnie funkcjonować.

– Prawie jak romantyczny wypad – zażartowałem, wyrywając kolejne rośliny z ziemi.

– Do romantyzmu brakuje kwiatków – odpowiedziała spokojnie *Frau Blau*.

I naprawdę nie wiem, co mnie wtedy podkusiło. Zbierając zioła, zacząłem też zrywać kwiaty. Na koniec podałem jej niewielki bukiet.

– To teraz jest już wystarczająco romantycznie? – zapytałem.

Wzięła kwiaty, uśmiechnęła się i pocałowała mnie w policzek. Czy wspominałem już, że Vogel **nie jest w moim typie**?

Operacja się udała. Bescond kuśtyka teraz po posterunku niczym rasowy pirat. Brakuje mu tylko statku i opaski na oku. Opaskę dałoby się załatwić. Statek będzie trudniejszy.

Weiss posmakował luksusu. I natychmiast zapragnął więcej. Wczoraj ogromne łóżko, dziś nasi spece od budowania kładli mu kamienną podłogę, żeby nie musiał chodzić po klepisku. Jutro pewnie zaczną mu stawiać pałac. Co gorsza, Roth stwierdził, że zgodnie z regulaminem należą mu się takie same standardy jak dowódcy. Coś czuję, że jutro chłopaków czeka kolejny remont.



Wieczorem przyszła grupa myśliwych z Teutonii. Pogadaliśmy chwilę, a potem ruszyli polować na zachód. Szkoda tylko, że wkurzyli megaleniwca. Jednego z nich potwór dosłownie pogruchotał, zanim reszta zdołała go powalić. Koledzy zachowali się, oczywiście, *honorowo*. Zostawili rannego i poszli dalej. Świetnie. Vogel właśnie taszczyła go do lazaretu, kiedy to notowałem.

A tuż przed północą doczołgała się do nas kolejna myśliwa z tej samej grupy. Zaatakował ich Thrumbro. Ona jedyna

przeżyła. Miała szczęście, że tej nocy miałem wartę i zdążyłem ją zanieść do lazaretu.

*Frau Blau* byłaby ze mnie dumna. I to mnie trochę martwi. Zaczynam zachowywać się jak ona.

## 20 października 1943

---

Miałem rację, kiedy mówiłem, że Roth załatwi robotę naszym złotym rączkom. Od samego rana Keller, Fuchs i Bescond uwijali się przy remoncie jego baraku. Deski, belki, poprawki, ulepszenia. Morath pewnie zmieni miejsce nocowania. Z naszego śmierdzącego, przepelnionego baraku do luksusowego pokoju u dupowłaza... to znaczy u Unteroffiziera Wilhelma Rotha. Awans społeczny pełną gębą.

Na szczęście nasz zastępca dowódcy miewa też sporadyczne przebłyски myślenia. Razem z Selą doszli do wniosku, że przydałaby nam się huta i kuźnia. Broń nie jest niezniszczalna, amunicja się kończy, a wokół wala się całkiem sporo złomu pozostałego po rozbitych samolotach. Metal aż się prosi, żeby go przetopić.

Dlatego, ledwie skończyli dopieszczać sypialnię Rotha, zaczęła się budowa pieca do przetapiania stali. Dzisiaj wspólnie go rozpaliliśmy. Może to nie piec martenowski, może bardziej przypomina prowizoryczne palenisko z marzeń pijaka i kowala-amatora, ale pozwoli nam wykorzystać to, co leży dookoła. A w Kanzelpass każdy kawałek metalu to potencjalne narzędzie przetrwania.

Cieszyliśmy się z tego małego sukcesu dokładnie do momentu, w którym Sela zagrała na trąbce. Atak. Dreamland przypominał o sobie. Tym razem nie było łatwo, szybko ani czysto. Mylene padła po postrzale w klatkę piersiową, ale na szczęście byłem obok i zdążyłem ją ustabilizować, zanim zdążyła wykrwawić się na śnieg. Roth dostał w tętnicę udową. Bescond ledwo zdołał zatamować krwawienie, drżącymi rękami i z miną człowieka, który wie, że spóźnienie o kilka sekund oznaczałoby trup.

Inni też oberwali, mniej lub bardziej. Cele znowu się wypełniły, a my znów mamy ręce pełne roboty.

Skoro już mowa o Bescondzie... kto się lubi, ten się czubi. Albo tak to przynajmniej idzie. Wspominałem, że pobił się z Besson. Teraz mogę dodać, że opatrywał ją z takim zaangażowaniem, iż przyłapałem ich później na całowaniu się. To akurat dobra wiadomość. Jeśli ludzie wciąż potrafią się do siebie zbliżyć, to znaczy, że jeszcze nie wszystko w nich umarło.



Zła wiadomość jest taka, że skończyły nam się nawet zioła. Kompletnie. A kilku jeńcom oraz Vogel wdała się infekcja. Czym to leczyć? Modlitwą? Chyba tylko to nam zostało. Siedzę teraz jak ten debil przy jej łóżku, patrząc jak oddycha i licząc każdy jej ruch.

**LUKAS. ONA. NIE. JEST. W. TWOIM. TYPIE.**